

# Powojenne początki łowiectwa na Warmii i Mazurach



Witold  
Daniłowicz

W znanej książce, poświęconej okresowi bezpośrednio po zakończeniu wojny, Ian Buruma nazwał rok 1945 „rokiem zerowym” (*Rok zerowy. Historia 1945 r.*). Wymienione określenie wydaje się szczególnie trafnie odzwierciedlać sytuację na tak zwanych wówczas Ziemiach Zachodnich i Północnych, w tym zwłaszcza w ówczesnym Okręgu Mazurskim. Nadejście frontu spowodowało masową ucieczkę mieszkańców. Ofensywa zimowa Armii Czerwonej i późniejsza okupacja tych terenów przez czerwonarmistów doprowadziły do ogromnych strat materialnych, a przede wszystkim do zniszczenia miast, spalenia wielu wsi i zabudowań. Mieszkała tu niewielka grupa przedwojennych mieszkańców – tych którzy nie zdążyli lub nie chcieli uciec. Zaczęli też napływać nowi osiedleńcy – najpierw z sąsiednich Kurpiów i Suwałszczyzny, a później z Kresów Wschodnich.

Tereny naszego województwa zostały przekazane Polsce w wyniku ustaleń Konferencji Jałtańskiej. Już 14 marca 1945 r. na tych terenach utworzono Okręg Mazurski, przekształcony wkrótce w województwo olsztyńskie, i zaczęto organizować polską administrację. Sprawa nie była jednak tak prosta jak mogłoby się wydawać. Brakowało kompetentnych ludzi, a ci, którzy podejmowali się tego zadania często nie byli postaciami kryształowymi. Jednocześnie, na terenie Okręgu stacjonowały jednostki Armii Czerwonej, których dowódcy nie bardzo liczyli się z przedstawicielami polskich władz. Panowało ogólne bezprawie, grabież i gwałty. Do tego dochodziły trudne warunki aprowizacyjne, a często wręcz głód, potęgowany przez niezwykle srogie zimy w pierwszym okresie powojennym. Atmosferę tamtych lat wspaniale oddaje film *Róża Wojciecha Smarzowskiego*.

Trudno się dziwić, iż w tamtych warunkach zwierzyna była traktowana przede wszystkim jako źródło wartościowego mięsa, którego zdobycie z innych źródeł było praktycznie niemożliwe. Dlatego każdy, kto tylko mógł, stał się ją pozyskać wszelkimi dostępnymi środkami. Pozyskiwanie zwierzyny w ten sposób świetnie opisuje niemiecki arystokrata i lekarz Hans von Lehnendorff w swoich wspomnieniach z tamtego okresu zatytułowanych *Dziennik z Prus Wschodnich*. Okres 1945-1947 autor spędził na pograniczu Warmii i Mazur. Jego wspomnienia są tym bardziej ciekawe, że przed wojną był zapalonym myśliwym, a zaraz po wojnie mieszkał, a czasami ukrywał się, na terenie majątków, które wcześniej należały do jego krewnych i w których przed wojną polował.

*Dziennik*, jak przystało na wspomnienia rasowego myśliwego, skrupulatnie odnotowuje wszystkie spotkania autora ze zwierzyną, zwłaszcza w czasie nocnych wędrówek. Raz drogę mu przebiegła wataha dzików, innym razem natknął się na chmarę jeleni. Gdy idąc przez las ze swoją ciotką natknęli się na dwa zdziczałe psy, które zagryzły sarnę, przegonili je, a sarnę zawiesili na drzewie, aby ją później zabrać do domu. Próbował też polować, i to zarówno w celu zdobycia pożywienia jak i rekreacyjnie, „w celu zabicia nudy”. Okazało się, że jeden ze starych mieszkańców wsi, w której mieszkali, miał ukryte w lodowni dwie strzelby i amunicję. Po wyczyszczeniu nadawały się do użycia i umożliwiły autorowi udanie się na podchód – oczywiście w wielkiej tajemnicy (posiadanie broni palnej przez Niemców było zakazane) i z nadzieją, że nikt nie usłyszy wystrzału. Ciotka – była właścicielką majątku, do którego należała wieś i w której teraz miesz-

kali – brała udział w tym polowaniu w roli naganiacza. W zagajniku zlokalizowali lochy. Niestety, uszły bokiem i myśliwi (czy kłusownicy – w zależności od punktu widzenia) musieli wrócić do domu z pustymi rękoma.

We wspomnieniach von Lehnendorffa często natrafiamy na opisy polowań urządzanych przez czerwonarmistów. Niestety nie są to przykłady etycznego łowiectwa, w dzisiejszym rozumieniu tego słowa. Autor nazywa ich wyczyny po prostu kłusownictwem. Oddajmy mu głos: „Rosjanie jadą na polowanie. Amunicję zabierają w dwóch workach po kartoflach. Wieczorem wracają z jeleniem i lochą. Wiele zwierząt postrzelili. Naganiacze też mają strzelby tak więc padło około 200 strzałów”. Wynik polowania nie był więc imponujący. Autor *Dziennika* z sarkazmem komentuje, że na polowaniu, w którym brał udział, zorganizowanym w tym samym miejscu przed wojną, oddano 36 strzałów, a na rozkładzie leżało 16 sztuk zwierzyny. Słabe wyniki Rosjan tłumaczy między innymi tym, że często strzelali oni na znaczne odległości. Pewnego razu widział ich strzelających do chmary jeleni z odległości co najmniej 800 metrów! Wynik innego polowania zorganizowanego przez Rosjan, którego świadkiem był von Lehnendorff, to trzy sarny, dzik, dwa zajęce. Postrzelono odyńca i jelenia, aczkolwiek postrzałków nie dochodzono.

W opinii autora wspomnień, korzystną stroną kłusownictwa uprawianego przez czerwonarmistów było właśnie to, że w lesie można było znaleźć padłe sztuki, postrzelone przez Rosjan. Raz znalazł martwego lisa, którego zabrał do domu z nadzieją, że futro „przyniesie trochę pieniędzy, jeżeli Polacy je zechcą”. Jeszcze innym razem znalazł na drodze – „zwierzynę zabrałi najwidoczniej na polski wóz z drewnem”. Ale były też sukcesy. Idąc po farbie, von Lehnendorff znalazł kiedyś zwłoki starego byka postrzelonego dzień wcześniej przez Rosjanina Waśko, stacjonującego w ich wsi. Zdziwiony, że autorowi wspomnień udało się znaleźć postrzałka, Waśko usłyszał – „znam tu każde drzewo”, jako że Niemiec dużo polował w tych lasach, należących przed wojną do jego rodziny. Jeleń został przywieziony do wsi i za zgodą Rosjanina podzielony pomiędzy kilkuset mieszkańców, którzy od miesięcy nie widzieli mięsa. Von Lehnendorff zauważył przy tym, iż przed wojną uważano, że na tak starej sztuce nie ma prawie nic, co nadawałoby się do jedzenia!

W *Dzienniku* pojawiają się też Polacy. Generalnie można stwierdzić, że są pokazani raczej w korzystnym świetle, zwłaszcza w porównaniu z Rosjanami, których często obawiali się tak samo jak Niemcy. Szczególnie ciepłe słowa autor ma dla nadleśniczego w Schwalgendorf (Siemiany), o którym pisał, że był „zapalonym myśliwym, a w swej pracy kieruje się wiedzą i sercem. Troszczy się o ludzi w Schwalgendorfie, daje im w lesie zajęcie i zarobek”. Ów bezimienny leśnik był jednym z wielu polskich myśliwych, których los rzucił po wojnie na Warmię i Mazury. Przewodził im zasłużony przedwojenny działacz łowiecki inżynier Herman Knothe, pełniący wówczas funkcję kierownika Biura Technicznego Dyrekcji Lasów Państwowych w Olsztynie. Grupa ta prawie od początku swojego pobytu na nowym terenie podjęła próbę ujęcia łowiectwa w ramy organizacyjne, co w ówczesnych warunkach na pewno nie było rzeczą łatwą.

Analizując historię zorganizowanego łowiectwa na Warmii i Mazurach w okresie bezpośrednio po wojnie,

trzeba zwrócić przede wszystkim uwagę na brak uregulowań prawnych, na których pionierzy organizujący życie łowieckie mogliby się oprzeć. Przepisy niemieckie już nie obowiązywały, a stosowanie polskiego Rozporządzenia z 1927 r. nie bardzo miało sens w lokalnych warunkach. Nie było przecież ani obwodów łowieckich ani ich właścicieli. W Lublinie działał już Tymczasowy Zarząd PZŁ, który w sierpniu 1945 r. upoważnił inż. Knothego do zwołania zebrania myśliwych mieszkających na terenie ówczesnego Okręgu Mazurskiego. Uczestnicy ogłosili się Oddziałem PZŁ na Okręg Mazurski i powołali Tymczasową Radę Łowiecką. Powołali łowczych powiatowych i zaczęli tworzyć obwody łowieckie. A wszystko odbywało się bez żadnej podstawy prawnej! Trzeba bowiem pamiętać, że w tamtych czasach przynależność myśliwych do PZŁ nie była jeszcze obowiązkowa, a PZŁ nie miał żadnych kompetencji administracyjnych! Pomimo to do marca 1946 r. do PZŁ zapisało się 475 osób. Jest to niewątpliwie bardzo ciekawy przykład prawdziwej, spontanicznej i oddolnej samorządności.

Myśliwi zaczęli się organizować także na poziomie lokalnym. Przykładem może być historia Koła Łowieckiego „Rogacz” w Giżycku, które już w 1945 r. rozpoczęło działalność na terenie ówczesnego powiatu łuczńskiego (Łuczany to dawna nazwa Giżycka) jako Koło Myśliwskie nr 1! Legalne polowania odbywały się wówczas tylko w Lasach Państwowych. Problemów było wiele, a jednym z głównych był dostęp do broni. Przedwojenni myśliwi utracili broń w czasie wojny – tym, którzy nie zdali jej władzom polskim w 1939 r., skonfiskowali ją Niemcy. Nie było też łatwo uzyskać zezwolenie na posiadanie broni. W początkowym okresie posiadało je zaledwie 10-20% członków PZŁ.

A jak wyglądała sytuacja, jeśli chodzi o liczebność

zwierzyny? W swoim *Dzienniku* von Lehndorff zauważył, że pomimo iż Rosjanie dwa razy w tygodniu organizowali w jego okolicy polowanie z naganką, w lasach nadal było dużo zwierzyny płowej. Z kolei, w wydanym w 1950 r. opracowaniu *Łowiectwo w Prusach Polskich*, J. Geysztor widział sytuację zwierzyny w ciemniejszych barwach: „Wskutek wojny ucierpiała, tak jak wszyscy i wszystko, i zwierzyna łowna. Zachodzi wprost obawa, że wiele gatunków może zagać na zawsze, bowiem jest obecnie tępiona przez kłusowników, wnykarzy i sidlarzy. Na wielu łowiskach, gdzie była masa sarn, dziś wybite są one zupełnie, łosi i danieli nie widuje się wcale, żeremia bobrów są poniszczone, jelenie są wybijane bez względu na płeć i wiek”.

Po wojnie kłusownictwo było prawdziwą plagą w całej Polsce, a na Ziemiach Zachodnich i Północnych wręcz „szalało”, jak to określono w sprawozdaniu napisanym do Komitetu Wykonawczego PZŁ w 1946 r. Jak wynika ze sprawozdań lokalnych działaczy PZŁ, a co potwierdzają wspomnienia von Lehndorffa, głównymi kłusownikami byli czerwonooarmiści. Kłusowali także żołnierze Wojska Polskiego, funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa, Milicji Obywatelskiej i różnej maści „niezrzeszeni kłusownicy”. Jak się zatem wydaje, procederem tym trudnili się wszyscy, którzy byli wówczas w posiadaniu broni palnej (legalnej czy nielegalnej). Można też zadać sobie pytanie, czy można tu w ogóle mówić o kłusownictwie. Parafrazując określenie wspomnianego na początku artykułu Buruma, sezon 1945/1946 w Okręgu Mazurskim był sezonem zerowym, w którym niemieckie zasady łowieckie przestały obowiązywać, a polskie jeszcze nie powstały. Jednocześnie był to czas, kiedy podstawową troską wielu mieszkańców było zdobycie pożywienia.



Ryszard  
Kozon

## Filip i Krystyna, czyli rzecz o miłości do zwierząt

*„Nasza wiedza o zwierzętach musi zamieniać nasze działania na dobre czyny, nie dla idei czy dobrego samopoczucia, ale dlatego, że są słuszne”.*

Tadeusz Szulc, *Zwierzęta w tradycji i kulturze*

Rankiem, szóstego maja 2018 roku, na drodze Janowo - Szczytno turystka z Warszawy potrafiła samochodem małego, kilkudniowego cielaczka jelenia. Po wypadku jego szanse na dalsze życie były właściwie równe zeru. Szczęściem turystka okazała się osobą bardzo wrażliwą na los pokrzywdzonego małego leśnego stworzenia. Wykazała wiele uporu i determinacji, aby znaleźć jakiegoś opiekuna potraconemu sierocie. Na jednej z benzynowych stacji w Szczytnie spędziła sporo czasu wydzwaniając do wszystkich możliwych instytucji zajmujących się opieką nad zwierzętami. Był też oczywiście kontakt z policją oraz z ludźmi zawodowo bądź hobbystycznie powiązani z lasem. Nie chciała się jednak godzić na żadne inne rozwiązania jak tylko takie, które zagwarantują dalsze życie zwierzęcia pod opieką życzliwych mu ludzi. Ostatecznie, takie załatwienie sprawy zaproponowali myśliwi z miejscowego koła łowieckiego. Do czasu formalnego przekazania zwierzęcia pod opiekę wyspecjalizowanej instytucji, jego losem miała zająć się mieszkanka wsi Sędańsk. W taki sposób małe stworzenie trafiło pod opiekę Krystyny Jonik.

W miejscowym środowisku pani Krysia od lat znana była jako osoba bardzo wyczulona na los domowych i leśnych zwierząt. Z jej opieki nie raz, nie dwa korzystały osieroceni bądź wypadkowi mieszkańcy sędańskich lasów. Między innymi był to koziolatek Bambi, kózki Falina i Malina, bociany, jeże, jenot i wiele innych. Tylko do lisów pani Krystyna nie czuła sympatii. W części wynikało to z faktu, że te przebiegłe zwierzęta nic sobie nie robiąc z faktu, iż nad rodzinnym siedliskiem czuwało aż trzech myśliwych z Koła Łowieckiego „Sokół”, kilkakrotnie zakradały się do kurnika Joników. Najbardziej jednak panią Krystynę zdenerwował lis, który w pobliskim zagajniku najpierw uczynił kaleką młodego sarniaka, a później dokończył niszczycielskie dzieła już na terenie posesji państwa Joników, gdzie koźle znalazło opiekę.

Koźle zostało znalezione w 2018 roku przez Karolinę, młodszą córkę państwa Joników. W trakcie spaceru po lesie przynależnym do rodziny, usłyszała przeraźliwy pisk. Nie bacząc na potencjalne zagrożenie ze strony sprawcy zamieszania, pobiegła w kierunku źródła hałasu i ujrzała, jak lis wgrzyza się w kark koźlęcia. Głośnym krzykiem odstraszyła drapieżnika. Ranne koźle przyniosła do domu, gdzie od razu zajęła się nim rodzina. Pomimo szybkiej pomocy weterynarza koźle częściowo pozostało sparaliżowane. Uszkodzony przez lisa kręgosłup koźlęcia powodował niedowład jego tylnej